

Jeszcze wszystko będzie dobrze

I

Szwabka! Szwabka! Truda, uciekała do domu, goniona przez gromadkę krzyczących dzieci. Przyczyły się za rogiem domu przy Grünberger Straße. Widziały ją idącą w kierunku Alter Markt. Nie musiały długo czekać, aż będzie wracała. Poczula lekki ból w łydce, ale przestraszona nawet nie spojrzała, co się stało. Co sił biegła, by czym prędzej znaleźć się na Niederdorf. Tam zwykle mali prześladowcy się nie zapuszczali. A z dręczenia jej zrobili sobie zabawę. Nie miało dla nich znaczenia, że nazywała się Gawron. Liczyło się to, że dziwnie mówiła po polsku, ojciec zginął na froncie po jego niewłaściwej stronie i była tu, kiedy zjawili się oni- *prawdziwi Polacy*.

Po chwili zorientowała się, że już jej nie gonią. Obejrzała się i zobaczyła, jak zawracają przed przejazdem kolejowym. Dalej nie chciało im się biec, przecież jutro znowu ją dopadną. Zwolniła i szła już normalnie. Zobaczyła, że z łydki sączy się krew. - Znowu któreś rzuciło kamieniem- pomyślała. Po zakurzonej buzi spłynęło kilka łez. Noga nie bolała tak mocno, ale dziewczyna czuła się zmęczona. Codziennie to samo. Matce nic nie mówiła, bo co by to dało. Tylko by się martwiła.

Z daleka usłyszała dobiegający od strony ich gospodarstwa znajomy głos. To pan Franek! Ucieszyła się. Nie było go prawie pół roku, a teraz wrócił! Nareszcie pomoże im w polu. We dwie z matką nie dają już rady. Jeszcze nie uporały się z sianokosami, a wkrótce żniwa. Nie miały pieniędzy, by zapłacić za pomoc, a same kosić nie umiały. Kiedy ojciec zginął, przydzielono im robotnika z Polski- pana Franka Kubasa. Obie z matką, robotnikiem i czasem z koleżankami z BDM, wykonywały wszystkie prace polowe. We żniwa pan Franek zaprzęgał konie do snopowiązałki, a one ustawiały snopki i potem pomagały w zwożeniu plonów do stodoły. Teraz miały tylko kosę, bo kilka miesięcy temu rosyjscy żołnierze kazali gospodarzom z Kargowej oddać wszystkie co wartościowsze sprzęty rolnicze. Najpierw zgromadzili je w starej synagodze, a potem gdzieś wywieźli. To samo stało się z ostatnim koniem i dwiema krowami.

Kiedy otworzyła dużą drewnianą furtę i weszła na podwórze, zobaczyła stojącą na schodach ganku matkę, a trochę niżej pana Franka. Na ławeczce pod orzechem, otoczona tobołkami siedziała kobieta z dwoma kilkuletnimi chłopcami. Dziewczyna zatrzymała się zaskoczona. Nagle matka, jakby śmiertelnie zmęczona, siadła na schodkach i się rozplakała.

- Panie Franciszku, co ja panu zrobiłam? – mówiła przez łzy. - Był pan u nas dwa lata i złego słowa nie usłyszał. Jadł pan to, co my. Pracowałyśmy tak samo ciężko, jak pan. A teraz chce nas pan wygonić z naszego domu? Za co?

- Miodu tu u was nie miałem! Prawda, że niektórzy mieli gorzej. Ale ja się o wywózkę na roboty nie prosiłem. Jak przyszli Rusczy, mówili, że wszystkich was wygonią za Odrę. To przed wyjazdem do domu załatwiłem sobie z takim jednym w urzędzie, że to gospodarstwo będzie moje! W końcu trochę potu tu wylałem. Miało pójść w obce ręce?

- Jak to w obce ręce? Przecież ja tu jestem i moja córka też! Ten dom wybudował mój teść. Odmawiał sobie wszystkiego. Harował jak wół! Zdrowie tu zmarnował, żebyśmy coś mieli. A pan teraz mówi, że to pana?

- Was miało tu nie być! Obiecali mi!

- Ale jesteśmy! I nigdzie nie pójdziemy! Nie wyjechałam w styczniu. Mam papiery na polskie pochodzenie! Mówię po polsku!

- Też mi polski! – ironicznie odezwała się siedząca dotąd cicho kobieta.

- Ja nie miałam wyboru, do której szkoły chodzić. Tu była tylko niemiecka. Moi rodzice tak samo. Ale w domu mówiliśmy po polsku, tak jak potrafiliśmy. Do pani męża w wojnę też mówiłam po polsku. A może nie?

Franciszek zakłopotany szukał kolejnych argumentów. Wreszcie stwierdził:

- Przegraliście wojnę, to nie macie nic do powiedzenia! Trzeba było nie zaczynać!

- Ja zaczęłam wojnę? Albo ona? – wskazała na córkę. – Miała dziesięć lat. Kto ją albo mnie pytał? A może mój mąż? – mówiła wycierając fartuchem ciągle płynące łzy. - Kazali mu się stawić do wojska. Wysłali na front. Jak przyjechał na urlop, mówił, że już nie wytrzyma, że nie wyobrażał sobie nawet, jak straszna jest wojna. Budził się z krzykiem każdej nocy, śnili mu się zabici koledzy. Albo że sam gdzieś kona z rozdartym brzuchem. Kiedy wracał na front, płakał jak dziecko. I za dwa miesiące dostałam list, że zginął. Pan myśli, że ja chciałam tej wojny? Chciałam, żeby Rusczy splądrowali mój dom? Chciałam tygodniami ukrywać Trudę, żeby jej nie zgwałcili? Naprawdę pan tak myśli?

Żona Franciszka poruszyła się niespokojnie. I ona wycierała zaczerwienione oczy. Chłopcy chyba do końca nie rozumieli, o co chodzi, ale siedzieli smutni i znużeni upałem.

- Franek, daj spokój. Znajdziemy sobie coś. Tyle tu pustych domów.- rzekła niepewnie.

- Wie pani – zwróciła się do zapłakanej wdowy – my nie jesteśmy żadni źli ludzie. W naszych stronach bieda aż piszczy. W domu u Franka było pięciu braci. Dwóch zginęło na wojnie. Niemcy ich jeszcze we wrześniu pod Kutnem zabili. Trzeciego Sowietci wzięli do

niewoli i nie wiadomo, czy go kto kiedy zobaczy. Żadnych listów przez pięć lat nie było. Jak Franek stąd wrócił – ciągnęła – dogadali się z ostatnim bratem, że co mają we dwóch na tych piaskach ojcowskich siedzieć. Zabrał mnie i chłopców, i przyjechaliśmy z całym dobytkiem.

- powiedziała, wskazując na toboły.

Franek milczał. Siedział obok swojej rodziny przygarbiony i zamyślony. Marzenie o własnym dużym gospodarstwie z murowanymi budynkami znowu się oddalało. Tu znał już każdy kąt. Wiedział, że dobra pszeniczna ziemia pod Dąbrówką i piasek pod Karszynem. Wiedział, które łąki nad kanałem można kosić w maju, a na które podmokłe trudno wejść i w czerwcu. Jadąc pociągiem, planował, co gdzie posieje jeszcze jesienią. Gdzie urządzi z Jadźką sypialnię, a gdzie będą spali chłopcy. Teraz wszystko diabli wzięli!

- Mamo- przerwał ciszę jeden z chłopców – jestem głodny.

Gawronowa podniosła głowę, wytarła oczy i zawołała do córki:

- Truda, przynieś zsiadłego mleka i nakrój chleba! Nic więcej nie mamy. – usprawiedliwiła się przed żoną Franciszka. – Zostawili nam jedną krowę i tylko ona nas żywi. Czasem Truda dostanie chleb w piekarni.

Nie skoczyli jeszcze posiłku, kiedy z ulicy usłyszeli głośny płacz. Zaskoczeni spojrzeli na gospodynię. Ta chwilę nasłuchiwała, potem wstała i podeszła do furty. Wyszła na ulicę. Doleciały ich strzępy rozmowy po niemiecku i zawodzenie kobiet. Wreszcie wdowa wróciła zapłakana.

- Wypędzają ich!

- Kto? Nas też? – Truda zerwała się na równe nogi.

- Mam nadzieję, że nie. Przed chwilą przyszli polscy żołnierze i powiedzieli, że mają się zaraz zbierać i pójść do Züllichau.

- Tak bez uprzedzenia! Po prostu mają się zebrać i iść?...Gabi też?- dotarło do niej, że rozkaz dotyczy też jej ukochanej przyjaciółki. Ruszyła biegiem na ulicę, żeby ostatni raz uściskać towarzyszkę lat dziecińczych.

Wstał też Franciszek.

- Ruszaj się, Jadźka! Henio! Bronek! Idziemy.

- Dokąd?

- Co się głupio pytasz. Nie słyszysz? Niemcy gospodarki zostawiają. Zaraz coś zajmiemy. Nawet wiem, gdzie pójdziemy.

- Jak to tak?- zdziwiła się kobieta. – Przecież oni tu jeszcze są. Lamentują. Zaczekaj trochę.

- Tak, ja się będę cackał, a zaraz ktoś inny zgarnie, co najlepsze. Idziemy.

II

Margaret Gawron rzadko opuszczała tego lata swe obejście. Oczywiście szły z Trudą na pole, czy to swoje, czy kogoś innego, na odrobek. Jednak zawsze się bała, że jak wróci, zostanie w domu obcą rodzinę. W lipcu do pierwszych osadników z poznańskiego i lubelskiego dołączyli inni- ze Wschodu. Jedni i drudzy szukali pustych domów, a czasem, kiedy jakiś zajęli, szukali czegoś lepszego. Sprawy w mieście załatwiała Truda. Matka nie miała pojęcia, że dzieci jej dokuczają. Dopiero, kiedy jedna z dawnych mieszkanki Kargowej przysłała kupić masło i śmietanę, Margaret dowiedziała się, że kilku chłopców stale przezywa córkę, a nawet obrzuca piaskiem i kamykami. Kobieta tłumaczyła się, że nie zna chłopców, bo inaczej porozmawiałaby z ich rodzicami.

Wieczorem po kolacji siadły z Trudą na schodkach ganku. Panowała błoga cisza. Tylko momentami z kąpieliska nad rzeką dobiegały śmiechy i krzyki.

- Córeczko, dlaczego nic mi nie mówiłaś, że dzieci z miasta cię przezywają?

- Ja nic sobie z tego nie robię, mamó.

- Myślę, że nie mówisz prawdy. Dopiero, kiedy pani Nowak mi o tym powiedziała, uświadomiłam sobie, że jesteś ciągle smutna. Czy w zeszłym tygodniu, jak miałaś skaleczony policzek i mówiłaś, że zadrapałaś się gałązką, to naprawdę było od kamienia?

-Tak. Ale to nic takiego. Pójdą niedługo do szkoły, to będą mieli inne zajęcia.

- Jednak powinnaś była mi powiedzieć. Może bym temu jakoś zaradziła. Czy jeszcze coś cię dręczy?- Margaret objęła córkę ramieniem i przytuliła. Może to ten czuły gest, a może coś się w duszy dziewczyny przelało, że zaczęła płakać. A początku cichutko, a potem coraz mocniej. Szlochając, wyrzucała z siebie cały schowany głęboko ból.

- Mamó, wyjedźmy tam, gdzie wszyscy. Nikt bliski tu nie został. Nie ma Gabi. Lato. Wszyscy się kąpią, a ja nie mam z kim pójść nad rzekę. A z kim pójdę do szkoły? Co mnie tam czeka? Śmieją się ze mnie. Nazywają Szwabką, Niemrą, Hitlerową. Przedrzeźniają, jak staram się mówić po polsku.

Kiedy utulona w ramionach matki dziewczyna wreszcie przestała płakać, matka obróciła jej twarz ku sobie, spojrzała w mokre od łez oczy i powiedziała z mocą:

- Nigdzie nie wyjedziemy. To prawdziwe szczęście, że nikt nas nie wypędził. Mamy swój dom i nigdzie nie będziemy się tułać. Poznamy nowych ludzi, przyzwyczaimy się do nich, będziesz miała przyjaciółki. Nie zdołamy sprawić, że będzie tak jak dawniej. Musimy przetrwać. Z czasem będzie lepiej, normalniej. Wytrzymaj dziecko!

Przytuliła mocno córkę i jeszcze jej szepnęła:

- Ten zły czas minie. Jeszcze wszystko będzie dobrze.

III

Było dość wcześnie, ale sierpniowe słońce już mocno przygrzewało. Truda niosła świeżo udojone mleko dla gospodyń w mieście. Ledwie zaczęła codzienną wędrówkę brzegiem bruku, kiedy usłyszała swe imię. Obróciła głowę w stronę zagrody Kubasów. Nad bramą wystawały jasne główki Henia i Bronka.

- Truda, idziesz na rynek? Weź nas z sobą.- poprosił starszy.

- Nie mogę, śpieszę się.- odburknęła.

- Truda, nie bądź taka. Jak nas weźmiesz, to ci coś pokażę. – próbował ją przekonać Bronka.

- Ciekawe co. Chyba szczerbę po zębach.

- Nie. Szczerbę już widziałas. Mamy małe kotki! –zawołał Henio.

- Głupi! Wygadałeś się i teraz nas nie weźmie!

- Małe kotki? Gdzie?- zainteresowała się Truda.

- Pokażemy, ale musisz nas zabrać do miasta.- targował się Bronka.

- Dobrze, tylko zapytajcie mamę.

Chłopcy zeskoczyli z bramy i pobiegli szukać matki. Po chwili wyszła pani Jadwiga, a przed nią biegli radośni Henio i Bronka.

- To mogą iść ze mną?

- Mogą, mogą. Jak są z tobą, to przynajmniej wiem, że niczego nie psocą. Trudka, powiedz mamie, że Heniowi już nic nie jest. Te zioła, które kazała parzyć na bolący brzuch, pomogły.

- Henio miał sraczkę! – zawołał Bronka w akcie zemsty za zdradzenie tajemnicy o kotkach.

- Dobrze, powtórzę mamie, że jej sposoby pomogły. To idziecie, czy nie?- zwróciła się do chłopców. I niemal natychmiast poczuła chłopięce dłonie w swych rękach.

- Idziemy!

Nie szło się jej zbyt wygodnie. Ręce dzieci ograniczały ruchy. W dodatku w jednej z nich musiała też trzymać pięciolitrową kankę na mleko. Jednak droga minęła szybko. Chłopcy bez przerwy o coś pytali. Starala się odpowiadać, wyjaśniać. Przecież to było jej miasto. Zaszli do trzech domów i kanka była pusta. Kiedy wyszli z Bahnhofstraße na rynek, dzieci aż przystanąły. Cały jeden bok rynku był spalony. Stały tylko poczerniałe ruiny.

- To od bomb?- zapytał Bronka.

- Nie. Pijani żołnierze podpalili domy.

- Kogoś zabili?

- Tak, wielu ludzi.- odpowiedziała i poczuła jak do oczu napływają jej łzy.

- Cemu płaczes? – zaseplenił przez szparę w zębach Bronka.

- Bo niektórych znałam.

Chłopcy przycichli. Wrócili na Bahnhofstraße i skierowali się do domu. Nie zauważyli nawet, jak zastąpiła im drogę kilkusobowa grupka dziwięcio-dziesięciolatków. Byli to stali dręczyciele Trudy.

- Kim jesteście?- zapytał najwyższy.

- Bronek.

- Henio.

- Czemu chodzicie ze Szwabką?

- Jaką Szwabką? To Trudka. Nie znamy żadnej Szwabki.

- Wasza Trudka to Szwabka. Macie się z nią nie kolegować, bo dostaniecie.

- Za co?- przestraszył się Henio.

- Trudka się z nami bawi. Przychodzi, jak mama ją prosi i się nami opiekuje. Zabrała nas na kąpielisko!- tłumaczył Bronek.

- I pokazała nam, gdzie są takie wielkie raki! – zawołał Henio, wykonując rękoma gest, jakby te raki miały rozmiary homarów.

Mali prześladowcy umilkli zaskoczeni. Chwilę stali, wreszcie jeden z nich zapytał:

- Nam też pokażesz?

Truda przez chwilę spoglądała z góry na wpatrzone w nią z wyczekiwaniem oczy. Potem odrzekła z namysłem:

- Może ...

- Pokaz im – wyseplenił prosząco Bronek.

- No dobrze. Przyjdźcie wieczorem.

IV

W stodole u Kubasów odbywało się młócenie zboża. Pracowało kilka osób. Gawronowa z córką też pomagały. Potem maszyna miała iść na jeden dzień do nich, więc mogły liczyć na pomoc sąsiadów. Truda stała na młockarni i wsuwała w szeroki otwór rozcięte snopy. Ludzie wesoło się przekrzykiwali. Wreszcie Franciszek zarządził krótką przerwę. Kubasowa przyniosła kompot z jabłek, a dla dorosłych jeszcze coś w butelce, do tego chleb obłożony paskami słoniny. Dzieci szybko zjadły, popiły kompotem i pomknęły do kotków, które spały z matką w kącie stodoły. Truda i chłopcy siedli na słomie wokół kociego gniazda. Każdy wziął na ręce swojego ulubieńca. Truda tuliła zwierzątko, wciągając w nozdrza zapach słomy. Tego najmniejszego kotka miała obiecane. Zabierze go do domu, jak będzie trochę większy. Już nie mogła się doczekać.

Nagle w słomie coś zaszeleściło. Kotka czujnie podniosła głowę.

- Myszy! Myszy zjedzą małe kotki!- zaczął płakać Henio.

- Zgłupiałeś? Myszy nie jedzą kotów. Jest odwrotnie. Zresztą na myszy poradzi Trudka.

Henio i Truda niepewnie popatrzyli na Bronka.

- No nie rozumiecie? Trudka na myszy! Od Trudki wszystkie myszy pozdychają!

Absurdalny żart Bronka tak ich rozśmieszył, że wszyscy troje przewrócili się na słomę. Tarzali się, popychali, wstawali i znów przewracali. I co chwilę któreś z nich krztusząc się ze śmiechu wołało: „Trudka na myszy!”

Słyszac tę beztruską zabawę, Jadwiga Kubasowa wyciągnęła do Gawronowej szklanę z wódką.

- Pani Małgosiu. Za nasze dzieci. Niech się zdrowo chowają.

V

W pierwszych dniach września Truda przygotowała bukiet astrów i wybrała się na cmentarz. Zaledwie zrobiła kilka kroków, kiedy dobiegło ją tradycyjne:

- Truda, gdzie idziesz?

- Na cmentarz.

- Kto ci umarł?

- Babcia, dziadek, ojciec. Kiedyś.

- Możemy iść z tobą?

- Powiedźcie mamie.

Po chwili cała trójka maszerowała w kierunku cmentarza. Henio niósł kwiaty, Broniek grabie, a Truda nic nie niosła. Broniek opowiadał o pierwszych dniach w szkole i o tym, że mu rośnie ząb, i że niedługo są imieniny mamy, i pytał, czy mama Trudy pozwoli urwać dla niej kwiaty.

Na cmentarzu, w pobliżu grobowca Dimków zauważyła świeże kopczyki. Na tabliczkach zawieszonych na krzyżach przeczytała nieznane sobie nazwiska. - Przyjechali i zaraz umarli. Bez sensu.- pomyślała. Była przygnębiona. Kilka dni temu mieli przeprawę z szabrownikami. Próbowali włamać się do spichlerza. Mama narobiła krzyku. Przybiegli sąsiedzi i przegonili złodziei. Ale nocą ktoś im wybił wszystkie szyby od strony ulicy. Wczoraj rano, wychodząc do szkoły, zobaczyła wielką swastykę narysowaną kredą na drewnianej bramie. Dobrze, że chociaż w szkole było lepiej niż myślała. W klasie złożonej z osób w różnym wieku i z różnych stron było kilka koleżanek znanych jeszcze z niemieckiej szkoły. Na przerwach trzymały się razem. Musiały bardzo uważać, żeby zrozumieć, co mówią

do nich nauczyciele. Wychowawczyni zapisała je na dodatkowe zajęcia dla dzieci autochtonów.

Kiedy wracali z cmentarza, chłopcy poprosili, żeby pójść dalszą drogą i zejść na dworzec. Widok nadjeżdżającego pociągu niezmiennie ich fascynował. Broniek pobiegł przodem, żeby zapytać zawiadowcy, kiedy nadjedzie pociąg. Po chwili wrócił, wołając z daleka:

- Zaraz! Zaraz będzie!

Na bocznicy kolejowej Truda dostrzegła siedzącą na walizce kobietę w czarnej sukni. Wymizerowana twarz była smutna i zmęczona. Obok bawiło się dwoje dzieci- około trzyletni chłopczyk i trochę starsza dziewczynka. Nagle zauważyła, że od strony miasta biegną dwie dziewczynki. Starsza, wyglądająca na dwanaście lat ścisnęła pod pachą bochenek chleba. Uciekały od dobrze znanej Trudzie gromady chłopaków. Tym razem niosło się za nimi wyzwisko: Ruskie! Ruskie! Zawszone Ruskie!

Dziewczynki dopadły do kobiety w czarnej sukni. Ta wstała, otwierając ramiona, jakby chciała osłonić swe dzieci przed całym złem tego świata. Wszystkie trzy po cichu płakały.

- Proszę pani...

Kobieta zwróciła zaczerwienione oczy w stronę Trudy.

- Proszę pani. Niech pani nie płacze. Ten zły czas minie. Jeszcze wszystko będzie dobrze.